

Warszawa dnia $\frac{19}{31}$ Lipca 1867 roku.

Nr 31. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

IGNACY KRASICKI.

Krasicki należy do rzędu ludzi, którzy pismami swemi najdzielniej wyrazili rozwinięcie się myśli rodzinnej w pewnym czasie. W nim się skupia cała literatura osiemnastego wieku. Wszystkie sławy, wszystkie znakomitości piśmienne swojego czasu, sławą swoją zaćmił Krasicki; był on światłem i gwiazdą przewodnią dla spółczesnych.

Urodził się Krasicki dnia 11 Lutego 1735 roku w Dubiecku, w ziemi Sanockiej, z ojca Jana Kasztelana chełmskiego i Anny Starzechowskiej, ostatniej córki dawnej hetmańskiej rodziny. Był najstarszym synem w licznem rodzeństwie, a przyniósł z sobą na świat imię historyczne, magnackie, niesplamione, imię co miało wielki rozgłos w kraju. Zaledwie wyszedł z lat dziecinnych, pobożna matka przeznaczyła go do stanu duchownego. Oddany do szkół jezuitów we Lwowie, mając lat szesnaście wieku, utracił ojca. Opiekun wyprawił go do Rzymu dla dalszego wykształcenia. Pod koniec panowania Augusta III powrócił Krasicki do kraju i został kanonikiem kijowskim, a następnie przemyskim i wtedy zyskał imię dobrego kaznodziei, a zarazem dał się poznać w towarzystwach wyższych we Lwowie, Krakowie i w Warszawie, ze świetnego dowcipu i rzadkiej nauki. Uczony Józef Załuski zostawszy biskupem kijowskim, wziął go na koadjutora opactwa Wąchockiego.



Ignacy Krasicki.

W bezkrólewiu po zgonie Augusta III, Krasicki przybył do Warszawy. Nadobnej i ujmującej postaci, uprzejmy, przystępny, pełen dowcipu, stał się upragnionym gościem w każdem towarzystwie. Nie było już tajemnicą, że młody stolnik litewski Stanisław Poniatowski, będzie królem polskim. Zbliżył się on do Krasickiego, a wychowaniem starannem i sposobem myślenia harmonizując, stali się przyjaciołmi. Poniatowski marzył o zaszczepieniu w Polsce wieku Ludwika XIV, chętnie więc garnął koło siebie wszelkie zdolności a tem więcej Krasickiego, który górował nad wszystkimi talentem i nauką. Zasiadłszy Poniatowski na tronie pod imieniem Stanisława Augusta, nie zapomniał o Krasickim. Za przeważnym wpływem króla dostąpił on zaszczytu, że został prezydentem trybunału małopolskiego, jako deputat kapituły lwowskiej. W czasie koronacji Poniatowskiego dnia 25 Lutego 1764 roku, miał w katerze warszawskiej kazanie. W roku 1766 Krasicki zaczął pracować na polu literackiem i pierwsze próby ogłaszał w nowem owczesnem piśmie perjodycznem *Monitor*, na wzór Spektatora angielskiego wydawanem. Po zgonie Stanisława Grabowskiego biskupa warmińskiego, trzydziestoletni Krasicki otrzymał bogate biskupstwo z tytułem książęcym. W r. 1768 przybył z Warmji do Warszawy na dłuższy pobyt. Mieszkał wtedy przy ulicy Krak.-Przedmieście w domu Wasilewskiego, nabytym później przez doktora Malcza, wreszcie przez Samuela Orgelbranda, gdzie w roku 1866 urządzono wirydarz. Tu otworzył gościnne progi, dając tak zwane wieczory uczone, na których bywał król Stanisław-August i cały owczesny świat literacki stolicy.

Uprzejmy w przyjęciu Książę-biskup, sercem dzielił się ze swoimi gośćmi i pokolei odczytywał im swoje utwory, które jeszcze świata nie widziały; mogli przeto najwcześniej ocenić wartość tych prac, tego niezrównanego talentu, który nagle zabłysnął najpierwszą wielkością.

Kiedy Pomorze przeszło pod panowanie króla pruskiego, Fryderyk II słysząc wiele o przymiotach biskupa warmińskiego, często go zapraszał do Potsdamu. — W Sanssousi oddając mu pokój w którym Wolter przemieszkiwał, powiedział, że ta okoliczność natchnąć go powinna. Jakoż Krasicki tu napisał *Monachomachję*. Stanisław August kazał wybić na cześć jego medal z napisem: *Musa vetat mori*, (Muza niepozwala umierać).

Za staraniem Krasickiego, stanął w Berlinie piękny kościołek świętej Jadwigi dla katolików, który sam poświęcił dnia 1 Listopada 1773 roku.

Osiadłszy stale w Heilsbergu oddał się wyłącznie pracom literackim, a otoczony gronem swojej rodziny i przyjaciół, rzadko już zaglądał do Berlina i Warszawy. W roku 1775 wydał Krasicki w Warszawie poemat *Myszeis*. Czytano go chciwie, dorozumiewano się ukrytej w nim satyry, ale klucz do jej zbadania pozostał tajemnicą autora.

Tegoż roku wyszła *Monachomachja* czyli *wojna mnichów*, poemat bardzo dowcipny i pełen ironji. Obraził zakonników niemiłosiernie ich chłoszcząc, ale wpłynął na użyteczną reformę po klasztorach.

W następnych latach drukowane były *Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego*, w nich podał obraz wychowania owoczesnego, oraz trybunałów koronnych, które poznał gruntownie prezydując w trybunale małopolskim. W *Satyrach* z wielkim dowcipem wyszydza spółczesne wady i przesądy.

Powieść *Pan Podstoli* kreśli obraz rzędnego gospodarza i obywatela: jakim być powinien w pożyciu z żoną, w wychowaniu dzieci, w obchodzeniu się z poddaństwem, w utrzymaniu domu, w związkach z sąsiadami. W osobie księdza Plebana wystawiony jest prawdziwy pasterz ludu, nauczyciel czystej moralności, stróż obyczajów, pocieszyciel i lekarz ubogich.

W dziele *Historja na dwie księgi podzielona*, maluje człowieka który niemogąc umrzeć, znalazł sposób odmłodzenia się. Ten człowiek jako naoczny świadek opisuje dzieje, wytyka błędy i łatwowierność historyków, czyni uwagi nad charakterami ludzi.

W tymże czasie wyszły sławne *Bajki* Krasickiego i znalazły jak najlepsze przyjęcie i upowszechnienie, a utkwiwszy w pamięci narodu, przechodziły z pokolenia do pokolenia. Nie mało bajek ma znaczenia głębsze, brane z ówczesnych wypadków i położenia kraju.

W poemacie *Wojna Chocimska*, usiłował opiewać bohaterskie czyny przodków. W *Anti-Monachomji*, głaszcząc urażonych Monachomachją, wystawiając nieprzyzwoitość ich zapędów, przydusił szemrania i niechęci.

W roku 1782 przyjechał Krasicki do Warszawy. Z prawdziwą radością powitał go król, dawni znajomi i literaci. Na uczonych Czwartkowych objadach w Zamku, celował dowcipem i wzbudzał wesołość powszechną. Trembecki napisał piękny wiersz do niego *Gość w Heilsbergu*. Krasicki potem wyjechał do Galicji i przybył do rodzinnego gniazda w Dubiecku.— Z rzewnem uczuciem powitał zamek, gdzie pierwsze kroki stawiać zaczął, gdzie każdy kącik przywodził mu na pamięć ukochanych ojca i matkę. Podróż tę opisał wierszem i prozą.

W następnych latach wydał *Listy i pisma różne; Kalendarz obywatelski*, obejmujący wspomnienia historyczne krajowe, tudzież *Powieść o losach narożnej kamienicy w mieście Kukurowcach*.

Przy końcu życia Krasicki posmutniał i pióro jego było nieczynne. Gdy nowy król pruski mianował go Arcybiskupem gnieźnieńskim, a Rzym zatwierdził, z żalem rozstawał się z ulubionym Heilsbergiem, gdzie najpiękniejsze lata życia przepędził. Przyjechał do Warmji w samym kwiecie wieku, a po trzydziestu blisko latach opuszczał ją ze szronem siwizny, aby w nowej stolicy swej zamieszkać. Zagasł w nim dawny talent poetyczny, opuścił iskrzący dowcip, zabrał się więc do poważniejszej pracy, tłumaczył Plutarcha żywoty sławnych mężów, rozmowy umarłych Lucyana, pisał dzieło o rymotworstwie i rymotworcach, z przytoczeniem licznych wyjątków.

W ścisłych stosunkach przyjaźni zostając z Franciszkiem Dmochowskim tłumaczem Iljady, jego wybrał na wydawcę zupełnego zbioru pism swoich; jego jedynie przyjmował w Skierniewicach i Łowiczu, trawiąc czas na poufałej rozmowie. Towarzystwo przyjaciół nauk nowo zawiązane w Warszawie, policzyło Krasickiego do pierwszych członków swoich.

Na początku roku 1801 zmuszony wyjechać do Berlina dla załatwienia jeszcze niektórych spraw biskupstwa warmińskiego, Krasicki zachorował i umarł w 66 roku życia, dnia 14 Marca. Zwłoki jego pochowane w kościele świętej Jadwigi w Berlinie, za staraniem księcia Antoniego Radziwiłła i Arcybiskupa Wolickiego w roku 1829 przeniesiono do Gniezna.

Najstaranniejsze wydanie wszystkich dzieł Krasickiego, ogłosił Franciszek Dmochowski w dziesięciu tomach, podług wyboru i układu samego autora, w Warszawie 1803 r. Dzieła te były wielokrotnie przedrukowywane. Michał Podczaszyński wydał je w Paryżu w jednym tomie. Tłumaczył na francuzki ksiądz Lovoisier, kanonik wileński, emigrant francuzki.

Żaden z pisarzy polskich nie wpływał tak potężnie na swą społeczność jak Krasicki. Łatwym i powabnym stylem i dowcipem, zbawienne zasady i smak utwierdzał i upowszechniał. Bajek jego uczyły się dzieci,—młodzi starym, a starzy młodym przytaczali jego satyry, gdy jedni w drugich szkodliwe nałogi lub wady postrzegali. Każdy w najdalszym zakątku ziemianin czytał Podstolego i uczył się jak być rządnym, dobrym sąsiadem i obywatelem. Żaden nadzwykły, wzniosły genjusz poetycki, ani głęboki filozof niebyłby tego skutku osiągnął co Krasicki, który z taką trafnością i rozsądkiem, do miejsca i czasu stosować się umiał.

Duchem pism jego jest, mówi Kazimierz Brodziński, że naród jak drzewo pod słońcem religji, ze swojego pnia według pory jaką czas niesie, organicznie rozwijać się powinien, iż jedynie to co w jego życiu jest przekwitłem i szkodliwem oddalać winien od siebie, a to tylko przyjmować, co do dalszego moralnego kwitnienia potrzebne.

Leon Rogalski.

NA LUDOWĄ NUTĘ

Piosnka Petöfiego.

Chciałbym być potokiem
I szumiąc wspaniale,
Z gór niesciągłych okiem
Toczyć swoje fale;
Gdyby moja miła
Małą rybką była,
Pływała ochoczo
Z falą mą przezroczą.

Chciałbym ja być lasem,
Dąbrową zieloną,
I strumienia pasem
Swe przystrajać łono,
Gdyby moja miła
Ptaszkiem małym była,
Gniazdko w lesie słała
Piosnki w nim śpiewała,

Chciałbym być ruiną
Nad skały uwiskiem,
Lat co szybko płyną
Posępnem zwaliskiem;
Gdyby moja miła
Barwinkiem mi była,
I w zielone dłonie
Me objęła skronie.

Chciałbym ja być chatką
W dolinie lub górze,
Której strzechę gładką
Drą i szarpią burze;
Gdyby moja miła
Ogniem w chatce była,
By jej ciepłą całą
Chatkę ożywiało.

Chciałbym też być chmurą
I przez wiatry gnany
Pomykać się górą
Nad lasy i łany;
Gdyby moja miła
Zorzą zmroku była,
W blade lica moje
Lała blasku zdroje.

Wołody Skiba.

NOCLEG NA STERCIE SIANA.

(Zdarzenie prawdziwe).

W dzisiejszym wieku cywilizowanym, gdy przemysł ludzki ułatwił komunikację i uczynił podróżowanie pod każdym względem wygodne, wielu nie uwierzy, na jakie przykrości bywają narażeni wędrownicy, w dalekich od świata zakątkach, jeżeli im podróż zwłaszcza w zimie, przedsięwziąść wypadnie.

Zamieć nieraz spowodowała wypadki w podróży, które niekiedy śmiercią się nawet kończyły. Straszną bywa wszędzie, lecz najokropniejszą na stepach i na rozległych płaszczyznach, gdzie działanie wichru niczem nie tamowane, rozwija się z całą swoją straszliwą potęgą. Słyszałem nieraz o okropnych wypadkach wśród zamieci, nie wiem jednak o równie oryginalnym, jaki mnie tej zimy napotkał.

Przejeżdżałem jedną z okolic naddnieprzańskich, w której rozległe, gdzie niegdzie tylko krzakami zarosłe łąki, płaszczyzną swoją przypominają stepy ukraińskie.

O godzinie wpół do piątej z południa, opuściłem miasteszko B. udając się drogą, która na przestrzeni dwóch mil, miała mnie prowadzić przez owe płaszczyzny. Jechałem w dużych saniach zaprzężonych trójką, po rusku, z dzwonkiem; woźnica jakkolwiek dobrze drogi świadomy, nie radził mnie tego dnia wyjeżdżać, mówiąc: iż zamieć czyni podróż niemożliwą, bo wszystkie drogi zawiało, a sama znajomość miejscowości nie wystarczy, abyśmy do celu pomyślnie przybyć mogli. Żartowałem z jego uwag nieprzypuszczając, aby można było zabłąkać się tam kędy kilkadziesiąt razy przejeżdżałem, tem bardziej, że w miasteczku dostrzegałem lekki tylko powiew wiatru, na który podług mnie żadnej nie należało zwracać uwagi. Wyruszyliśmy więc. Słaby wiatr wśród miasteczka, na polu coraz się zwiększał i ponieważ dął naprzeciw, czynił podróż wcale niemiłą, otuliłem się we futro i oddając się błogim marzeniom o ciepłym kominku, ani przypuszczałem co mnie dziś spotka. Najprzód jechaliśmy kłusem, lecz im dalej tem bardziej sanie grzęzły w śniegu i lekki ślad drogi zaledwie był widoczny. Konie poszły stępa, wicher coraz się wzmagał i śnieg dużemi kłębami zewsząd nas otaczał. Zmrok zapadał i coraz było ciemniej na pustych płaszczyznach. Sanie z trudnością przesuwające się przez głęboki śnieg, nareszcie zapadły w jakiś głęboki dół, z którego niepodobna było wydobyć się ani wstecz ani naprzód.

— Panie! zawołał woźnica — zabłąkaliśmy się, nigdzie drogi nie widać i nie wiem co teraz z nami będzie.

— Zacinaj! zawołałem energicznie.

Woźnica targnął lejcami, zaciął batem i tęgie konie rozpaczliwym susem wydźwignęły nas z dołu.

Wjechaliśmy znowu na równinę, gdzie śnieg był mniej głęboki i kilkadziesiąt kroków ujechaliśmy kłusem, lecz to bynajmniej nie zbliżało nas do celu, bo jadąc bez drogi nie wiedzieliśmy dokąd dążymy, dalsze posuwanie się w nieznanym kierunku — mogło tylko nam szkodzić i niepotrzebnie konie męczyło. Znowu stanęliśmy.

— Nie można tak jechać, trzeba drogi szukać, — zauważył woźnica.

Zsiadł z sanek i trzęsąc się od zimna, pobiegł naprzód w nadziei odszukania jakiegokolwiek śladu.

Zostałem sam, ująłem lejce i bat i zwolna ruszyłem za woźnicą śledząc go wzrokiem, lecz w krótce znikł mi z przed oczów; próżno usiłowałem dogonić go, bo z powodu zamieci niemożna było dostrzedz w jakim udał się kierunku. Wołałem nie odpowiadał, czekałem i znów wołałem ale na próżno; woźnica niewracał, więc po całogodzinnem oczekiwaniu musiałem go uznać za zginionego. Pozostałem sam, zamieć ustała lecz żadnej drogi odnaleźć niemogłem, bez celu błąkając się po głuchych równinach i niewidząc przed sobą nic, oprócz gdzie niegdzie czarniejących się stert siana. Położenie moje nie było do zazdrości. Wrócić do miasteczka niepodobna, bo tak zawikłałem się w czasie zamieci, iż mimo znajomości pozycji, na co najwięcej wprzódy rachowałem, w tej chwili nie byłem pewien nawet, w której stronie ono leży. Przyznacie, iż nocleg na zimnie, a w skutek tego śmierć od zamarznięcia, nie należy do rzeczy nazbyt miłych, a jednak taka tylko perspektywa była przedemną. Zaginąć marnie w śniegu o półtorej mili od domu, wcale się nie spodziewałem: zgon mój wszelako tak pełen awanturniczości, iż niejednego poetę natchnąłby elegją — mógł być urozmaicony przez wilków, których napotkanie w tych stronach i wśród nocy — nie należało do rzeczy nieprzewidzianych. Jakoż o kilkanaście kroków na przodzie mignęły świecące się oczy wilka, konie zachrapały i w bok targnęły. Wilk obiegł w około, odstraszony wszakże dzwonkiem nie śmiał się się zbliżyć, postał chwilkę i czmychnął dalej. Ta bojaźń jednego wilka niedawała mi pewności, iż dzwonek zabezpieczyć zdoła od większej wilków gromady, której przybycia lada chwila oczekiwać należało. Chodziło mi o zaasekurowanie mojej godności osobistej od dwóch złowrogich potęg: od zimna, na którem mogłem zmarznąć przez kilkanaście godzin nocy zimowej i od zwierząt, przez których mogłem być pożarty. Trudno było zaradzić złemu. Nie miałem zapałek, ani materjałów palnych do rozniecenia ogniska, broni też żadnej nie posiadałem przeciwko wilkom, ale konieczność bywa źródłem wynalazków, wpadłem na pomysł, którego wykonanie mogło jedynie odpowiedzieć obu powyższym warunkom zabezpieczenia się.

Powiedziałem już wyżej, że oprócz ciemności, wiatru śniegu i wysokich stert siana, — nic nie znajdowało się w mojem otoczeniu. Sterty siana mają tu wysokość najmniej dwóch sążni. Przy jednej z takich stert, zatrzymałem konie i udzieliłem im pożywienia. Koniom tymczasem było nieźle, lecz co z sobą miałem począć? Postanowiłem bądź jak bądź wspiąć się na najwyższy szczyt sterty i tam obrać miejsce noclegu. Po długich staraniach i wysileniach gimnastycznych, powiodło mi się nareszcie

zamiar ten przywieść od skutku; poczem strzepnąwszy śnieg zwierzchu, uczyniłem wydrążenie w głębi siana i tam w napół siedzącej a na pół stojącej pozycji, umyśliłem przepędzić noc tę dla mnie złowrogą. W tym razie musiałem ściśle trzymać się egoizmu i konie własnemu ich losowi pozostawić.

Zanurzony w sianie i otulony w futrze utrzymywałem się w takim ciepliku, który lubo nieochraniał mnie od przeziębnięcia, zabezpieczał wszakże od śmierci przez zmarznięcie; wysokość zaś sterty była doskonałą naprzypadek wilków. Spać nie mogłem a oddawałem się rozmyślaniu nad znikomością życia ludzkiego i przysłuchiwaniu się tajemniczej muzyce wiatru, której wycie wilków akompaniowało. Rozhowor ich nocny to milkł, to znów stawał się głośniejszy, nie wiedziałem wszakże o ile zbliżają się do moich koni. Obawy moje pod tym względem spełniły się. Nazajutrz ze świtem, gdy wydobywszy się z siana, wyjrzałem na świat Boży — szczątki tylko mojej trójki znalazłem. Woźnicę mego znaleziono później o kilkadziesiąt kroków od tego miejsca... zmarzniętego. Wypadek ten niezwykły, nabył w okolicy wielkiego rozgłosu, a ja przykrem nauczony doświadczeniem, przyszedłem do przekonania: iż w czasie zamieci nienależy udawać się w podróż chociażby najbliższą, bo nigdy niemożna być pewnym przybycia do celu.

Józef S.

SŁOWO W SWOIM CZASIE.

Epidemja choleryczna znowu się zjawiła w Warszawie i znowu tworzą się różne instytucje dla zapobieżenia szerzeniu się tej plagi Bożej, która od 1831 roku Europę perjodycznie w wszystkich jej miejscowościach nawiedzać nie przestaje.

Zostawiamy lekarzom rozwiązanie problematu, w jaki sposób najlepiej zapobiedz wybuchnięciu cholery i jakiemi środkami najskuteczniej wyleczyć chorujących na nią. Może się im kiedyś uda zamknąć paszczę tej hydrze, grożącej pochłonięciem całej ludzkości.

Do nas należy zbierać różne wskazówki z praktycznego życia wypływające i objaśniać czytelników naszych, co się okazało szkodliwem a co zbawieniem w czasie epidemji.

Mówić tu przedewszystkiem chcemy o trzech czynnikach życia ludzkiego, jakiemi są: pokarm, napój, powietrze. Jeżeli w stanie normalnym zachowanie zdrowia głównie od odpowiedniego pożywania tych trzech czynników życia zawisło, to tem bardziej w epidemji całą uwagę zwrócić należy na to, czem się nasyca głód, czem się gasi pragnienie, i czem się oddycha.

Pokarmy.

Głównym pokarmem ludzi wszelkich stanów jest chleb; bez chleba choćby w najmniejszych porcjach, nikt obejść się nie może. Dbać więc o to należy, aby chleb który pożywamy był dobrze wypieczony, bez zakalcu i z mąki czystej, niestęchłej. Na prowincji każde gospodarstwo wypieka sobie chleb dla swojego użytku i nie masz zapewne gospodyni któraby się nie starała, aby chleb jej był smaczny i zdrowy. W Warszawie przeciwnie rzadko gdzie wypieka się chleb w domu, głównie dla tego, że lokale nie są urządzone na założenie piekarni. Cała więc ludność polega na piekarzach z rzemiosła, zaopatrując swoje potrzeby chleba, bułek i różnych ciast w zakładach na wielką niekiedy skalę ku temu celowi zaprowadzonych.

Piekarze więc pod tym względem przyjmują na siebie opiekę nad zdrowiem Warszawy, rozumie się za stosownem wynagrodzeniem za swoją pracę i nakłady.

Nie wchodzimy tutaj w ocenienie wysokości tego wynagrodzenia, bo nie dotykamy strony materjalnej odpowiedzialności piekarzy, nie chcemy tutaj targować się z nimi o wagę wypieków, choć te nieraz podawane nam bywają w niewiększej może ciężkości jak pieniądze, które im za nie płacimy. Niechaj już piekarze liczą się nie do zwyczajnych rzemieślników ale do artystów, którym za arcydzieła sztuki płacimy nie podług objętości, ale podług wartości wewnętrznej. Mamy artystów szewców i krawców, dla czegoż nie ma Warszawa mieć artystów, — piekarzy? Bez lakierków i fraków prędzej się człowiek obejść może, jak bez chleba.

Ale na miłość Boga, panowie artyści-piekarze, którzy dajcie nam za ciężki nasz znój, przynajmniej wypieki nieszkodliwe zdrowiu, dopieczone, niezakalcowe, chleb a nie glinę.

Pomnijcie; że teraz żołądki są słabsze, nie zdolne do trawienia waszej gliny i że to co kiedyindziej pociąga za sobą kurcz żołądka i wymioty, to dziś przeradza się w *cholerę* — pozbawiającą rodziny całe swych opiekunów, zostawiającą całe domy osierociałe!

Mięso także dla swej natury pożywnej i posilnej, stało się głównym pokarmem dla majętniejszej klassy, a specjałem na święta dla uboższych. Ci, których Bóg obdarzył jakkolwiek zamożnością zwykle wybierają dla siebie najpożywniejsze i świeże mięso, podczas gdy gnaty i odpadki różnego rodzaju kupowane bywają przez biedniejszą klassę. Zgadzamy się na tę konieczność, patrzymy nawet przez szpary na nieprzyzwoite i pogardliwe obejście się panów rzeźników z osobami niemogącemi kupować więcej niż 1 funt mięsa. Ależ liche mięso, kości, odpadki, które w innych krajach stanowią strawę dla zwierząt, ale niechże przynajmniej będą świeże.

Napoje.

Mieliśmy kilka słów prawdy do wypowiedzenia szanownym kapłanom i kapłankom Bachusa, z których świątyń widzimy nieraz wychodzących czcicieli tego bóstwa w stanie nie bardzo pocieszającym; chcielibyśmy się ich zapytać: czy kredka którą zapisują długi swych klientów, nie jest podwójną? Ale wstrzymujemy się od takich badań, kieliszeczek wódki w miarę używany na teraźniejsze czasy podpiera zdrowie, pomaga trawieniu, przyśpiesza cyrkulacją krwi, ci zaś którzy nadużywają trunków, niechaj sami sobie winę przypiszą, jeżeli tracą majątek i zdrowie, a w czasie cholery nawet i życie.

Wszakże nikt ich nie zmusza by zanadto pili. A więc jak na teraz pokój z szynkarzami, po ustaniu epidemji zajmiemy się zbadaniem tajemnic szynkarskich.

Przejdźmy więc do napoju najbardziej używanego nic nie kosztującego i najpotrzebniejszego do utrzymania życia, —do wody.

O szkodliwości w niektórych razach i miejscowościach wody jako napoju, czytamy w liście pewnego lekarza wojskowego pruskiego jak następuje:

„W jednym domu, w którym cholera już dotknęła była kilkoro ludzi, inni jego mieszkańcy mimo to pożywają wszelkie owoce i zieleniny bez najmniejszej obawy zaszkodzenia swemu zdrowiu, wstrzymują się tylko oni zupełnie od picia wody. Jedna jednak osoba po najedzeniu się na wieczerzę solonego mięsa czy wędliny, pomimo dawanej sobie przestrogi, napiła się wody i w kilka godzin doznała wszystkich oznak cholerycznych, które znikły dopiero po napiciu się gorącego odwaru z mięszaniny rumianku i mięty. Inna znów osoba, która na czczo zwykła była co rano pijać wodę, podobnież zachorowała. Również i kilka innych osób, wstrzymujących się zupełnie od wody nie doznawały mniejszych lub większych przypadłości chorobliwych. W jednej rodzinie od niejakiego już czasu kilkoro dzieci cierpiało nieustanne rozwolnienie i mimo przeróżnych lekarstw nie ustawało; na skutek dopiero porady, aby wstrzymały

się od picia surowej wody przez kilka tygodni, choroba ta wkrótce ustała. Wziąwszy tedy na uwagę, że podczas szerzenia się choroby wiele osób używało za napój wody, a pomimo to pozostawały w dobrem zdrowiu, wnieść należy że tu jest przyczyna w różności wody,—i rzeczywiście naocznie się o tem przekonałem, mówi rzeczony lakarz. Wziąwszy tedy butelkę wody ze studni, z której używała jej jedna rodzina doznająca często boleści żołądkowych i rozwolnienia, postawił ją w spokojnem miejscu na 24 godzin; następnie ujrzał na dnie butelki znaczną ilość osadu zielonego jakoby mech. Przy doświadczeniu takiem z inną wodą z domu, w którym do owego czasu nie było wypadku cholerycznego chociaż wody pili tam dosyć wiele, nie znaleziono żadnego osadu. Najpewniejszym więc środkiem uniknięcia wspomnianych chorób, byłoby używanie za napój wody przewarzonej i ostudzonej lub odwaru jakich ziółek.

Powietrze.

Trudno nam będzie podciągnąć powietrze atmosferyczne którem oddychamy pod kontrollę hygieniczną i urządzać oczyszczenie jego w tej mierze, aby usunąć z niego szkodliwe miazmata, które nam wiatry przynoszą z błotnistych zaraźliwych trzęsawisk Indyjskich. Ale obowiązkiem naszym jest niedopuszczać, aby to powietrze jeszcze się bardziej zanieczyściło z własnej naszej winy.

I w tym względzie obowiązek ciąży na właścicieli domów, którzy wymawiając się wysoką opłatą padatków, w trójnasób za to podwyższają komorne. Do właścicieli domów więc, którym się prawo zamieszkiwania w ich nieruchomościach tak drogo opłaca, należy utrzymanie powietrza w stanie naturalnym, niedozwalając na zanieczyszczenie onego, przez natłoczenie do jam podziemnych nazwanych suterrynami zbytniej liczby mieszkańców; do właścicieli należy utrzymanie ścieków w porządku, aby woda miała swobodny wpływ; do nich należy desinfekcja kloak i rynsztoków siarczanem żelaza, a to nie tylko pozornie byle odbyć powinność przez służbę zdrowia nałożoną, powinność powierzchownie tylko dla oka się spełniającą, ale tak, aby spełnić obowiązek sumienia i ludzkości. Nadto kloaki wszędzie opatrzone być winny dymnikami, aby wyziewy nieczyste ciągle się tam gromadzące, wydobywały się wierzchem.

Właściciele domów należący po większej części do klassy inteligencyjnej, zrozumieją bez wątpienia całą ważność tego obowiązku, na który niech poświęcą choć malutkę cząstkę tego, co zarabiają na lokatorach z powodu podwyższenia komornego.

A teraz po obrachowaniu się z tymi, którzy przez sumienne wypełnienie swych obowiązków mogliby się przyczynić do uśmierzenia epidemji, winniśmy nieco skarcić samą publiczność, która tak mało dba o zachowanie zdrowia i życia. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże” jest znane przysłowie, niech się więc nikt nie zda na drugich. Niechaj nikt nie sądzi, iż Służba Zdrowia sama będzie wstanie coś zdziałać, jeśli publiczność jej nie dopomoże własnemi siłami. Służba Zdrowia czyni co może, daje wskazówki, poleca wykonanie, ale wszystkie jej usiłowania będą bezskuteczne, jeżeli publiczność sama nie będzie czuwała nad sobą i nad wykonywaniem przepisanych środków ostróżności. Każdy więc komu życie jest miłe i komu los rodziny przez Opatrzność mu powierzonej jest drogim, niechaj unika wszelkiej niewstrzemięźliwości w pokarmach, napojach, uciechach zmysłowych; niechaj każdy dobrze odczyta poniższą informacją Komitetu Cholerycznego i ściśle się do niej zastosuje; niech każde uchybienie przeciw tym przepisom od kogokolwiek ono pochodzi, surowo zgani lekceważącym je osobom, a jeżeli to braterskie napomnienie nie pomoże, to niech się nie wzdryga donieść o tem niezwłocznie Służbie Zdrowia, bo tu idzie o dobro publiczne.

A gdy zrobimy wszystko co było w naszej możności, gdy unikniemy wszystkiego o czem nas ostrzeżono, jakikolwiek nas los spotka, zawsze będziemy mieli spokojne sumienie spełnionej powinności.

— *Prezydujący w Warszawie Cholerycznym Komitecie.* — Pomimo podania do wiadomości powszechnej czego mianowicie należy się wystrzegać w celu uniknięcia cholery, wiele osób z obojętnością zapatrując się na takowe ogłoszenie, niewstrzymuje się od używania pokarmów i napoi wskazanych w niem jako szkodliwych i wywiązywać mogących epidemję, — Komitet Choleryczny zatem widzi się w obowiązku powtórnie ogłosić, iż należy unikać o ile możności używania:

1) Surowych owoców, ogórków, rzepy, marchwi, i t. p. 2) Zimnego lub wędzonego mięsa. 3) Tłustych lub nieświeżych ryb. 4) Grzybów. 5) Niewystałego lub skwaśniałego piwa. 6) Nadmiernego używania trunków spirytualnych, — Nakoniec 7) Co w szczególności jest ważnem, zaziębienia się i zamoczenia nóg, a również kąpania się zaraz po jedzeniu lub spotniałemu.

Oprócz tego poleca się Właścicielom i rządcom domów, ażeby tak jak w roku zeszłym utrzymywali w należytej czystości wychodki i rynsztoki i desinfekcję takowych codziennie pomiędzy godziną 5 a 6 zrana dokonywali za pomocą rozczynu koperwasu żelaza, w jatkach zaś i sklepach mięsnych, należy przepłukiwać takimże roztworem ścieki i rynsztoki trzy razy dziennie, mianowicie o godzinie 5 z rana, w południe i o 8 wieczorem.

A ponieważ środki takowe przy rozsądnem ich zastosowaniu najwięcej wpływają na uniknienie epidemji, przeto głowom rodzin zaleca się czuwanie nad skrupulatnem zachowywaniem pomienionych ochronnych środków.

Listy z podróży na wystawę paryzką.

VII.

Paryż, d. 24 *Lipca 1867 roku.*

Gdy mi powiedziano do czego służy maszyna, której rysunek dziś posyłam, mimowolnie uśmiechnąłem się i gotów byłem przystać na zdanie pana Pawła, który na jej widok zawołał:

— Ot, co nowego!... do czego ludzie wkrótce maszyn nie wymyślą?... Ręczę, że na przyszłej wystawie jaki przemysłowiec okaże rentjerom maszynę do obcinania kuponów, lub do składania w paczki papierowych pieniędzy....

W istocie nieznającemu rzeczy, maszyna którą miałem przed oczyma, wydała mi się bezużyteczną zupełnie i tak się zapewne wyda niejednemu z czytelników gdy powiem, że służy do *obłuskiwania* ziarn zbożowych.

Nie chciałem przecież odejść od wystawionego przedmiotu, choć mój towarzysz ciągnął mnie za połę, dopóki nie zrozumiałem po co tam wystawiono rzecz taką, której bez bliższego zastanowienia się nawet potrzeby odgadnąć nie można.

To czegom się dowiedział było tak ciekawe i tak pocieszające dla nas ludzi biednych co czarnym chlebem żyjemy i białego nieraz albo bogatszym albo cudzoziemcom zazdrościm, że się i tą wiadomością podzielić muszę z czytelnikami Opiekuna.

Najważniejszym artykułem żywności dla człowieka jest bezzaprzeczenia chleb, otóż ze wszystkich rodzajów przemysłu nie wiem czy może być dawniejszy i ważniejszy jak młynarstwo. Czytałem kiedyś w Opiekunie jego króciutką historją w rozmaitościach i byłem przekonany, że młyny parowe są ostatnim wyrazem postępu w młynarstwie i że

wszystkie części zboża jakie się tylko na mąkę dadzą przerobić najdokładniej przerabiają. Tymczasem tak nie jest. Pszenica np. zawiera 94% części, które mogą być obrócone na mąkę, najlepsze zaś z istniejących dotychczas młynów wydają ledwie 80 funtów zboża. Ztąd wynika że 80 ludzi zjada to, coby wystarczyć mogło dla 94, a odpadki nie mają nawet czwartej części tej wartości jaką by miała mąka. Łatwo sobie wystawić jaka to ogromna strata. Niedosyć natem, mimo stosunkowo tak małej wydatności najlepszych nawet młynów, działalność ich nie jest dokładną. Nie tylko w otrębach pozostają części mączne, lecz w mące pozostają części otrąb, te mianowicie które tak są drobne, że ich najlepsze pytlowanie nie usunie. Cząstek tych jest stosunkowo niewiele, ale zawsze są.

Widać ztąd, że dzisiejszy od wieków praktykowany sposób postępowania w młynarstwie nie tylko nie jest doskonałym, lecz jest bardzo od doskonałości dalekim. Kamienie młyńskie ścierają na proszek całe ziarno, a pytle potem oddzielają części drzewne czyli otręby i naturalnie oddzielić mogą tylko takie, które się zbyt drobno nie starły,— oddzielają je zaś razem z częściami mącznemi które do nich przylgnęły. Zapatrując się na budowę ziarna przekonywamy się, że ta czynność mogłaby być wykonaną daleko dokładniej, gdyby od całego ziarna oddzielić łupinkę, w której skład nie wchodzą części mączne, lecz włókna w rodzaju włókien słomy albo drzewa.

Przeciąwszy w poprzek albo wzdłuż ziarno pszenicy, można za pomocą mikroskopu zobaczyć jego części składowe i przekonać się, że części jego pożywne powleczone są rodzajem potrójnej łupinki, która nie ma w sobie części pożywnych. Rozpatrując się bliżej w częściach pożywnych, widzimy że środek ich jest większy, najbielszy, w miarę zaś zbliżania się ku łupince staje się twardszym i ciemniejszym, bardziej kleistym. Podczas mielenia a raczej pytlowania, mąka najlepiej przepytlowana składa się z samych części środkowych ziarna, a przepytlowana mniej dobrze, mieści w sobie także owe części twardsze, ciemniejsze i kleistsze. Mąka najbielsza, koloru cokolwiek wpadającego w żółty tak zwana cesarska, wydaje ze 100 f. 128 f. chleba, ciemniejsza zaś 136 a nawet 140 funtów. Im mniej pytlowana tym jest pożywniejszą, co dowodzi, że części położone bliżej łupinki są pożywniejsze niż części wewnętrzne, a ztąd wynika, że tracąc przy mieleniu 14% tracimy części najpożywniejsze, przez co strata staje się jeszcze większą. Rozbiór chemiczny wykazał, że w otrębach na sto części, znajduje się ledwie niecałe 10 części niepożywnych, w ogóle bowiem mieszczą one w sobie według analizy p. Millon:

Krochmalu, Dekstryny i Cukru . . .	50	części
Wody „ „	13,4	„
Lukrecji „ „	1	„
Kleju „ „	14,9	„
Tłustości „ „	3,6	„
Soli „ „	5.	„
Innych pierwiastków pożywnych aromatycznych „ „	2,4	„
Włókna drzewnego „	9,7	„
razem	100,	części

Jeżeli zatem idzie o oddzielenie właściwych otrąb od ziarna, daleko skuteczniej da się to dokonać za pomocą obłuskania, niż przez pytlowanie.

Że części chleba, które tracimy przez niedokładne mielenie są właśnie najpożywniejsze, na to niepotrzeba nawet chemicznych dowodów. Każdemu wiadomo, że chleb razowy jest pożywniejszy i łatwiej się trawi od pytlowego. Znakomity chemik niemiecki Liebig udowodnił to naukowo i zalecił chorym zwłaszcza na organa trawienia, żeby go używali za pokarm. Sławny doktór Magendie, zmarły w r. 1855 robił doświadczenia z psami, z których wypadło, że psy żywione chlebem z niepytlowanej mąki były zupełnie zdrowe, żywione zaś chlebem pytlowym po upływie pewnego czasu zdychały. Ztąd wypływa, że zastąpienie dotychczasowej metody obłuskiwaniem, ma na celu oszczędzenie od straty znacznej ilości i to tych właśnie części, które są właściwie najpożywniejszemi w ziarnach zbożowych. Pytlowanie mąki z nieobłuskiwanego zboża czyni ją uboższą w krochmal, w substancje tłuste i kleiste, oraz w pierwiastki dodające jej aromatu i smaku. Tych ostatnich pierwiastków których jest dwa, a z których jeden zapachem miód przypomina, nie ma zupełnie w teraźniejszej mące pytlowej. Otręby z mąki potrzebnej na wyżywienie Francji, warte są rocznie według p. Millon najmniej 360 miljonów franków, przy użyciu ich na paszę dla bydła, traci się rocznie około 250 miljonów franków.

Wszystkie te rozumowania mało znajdują przystępu do publiczności, która poszukuje o ile można najlepszego chleba; wydoskonalenie machin do obłuskiwania zboża doprowadzić może tylko do tego, że części pożywne niebędą stracone jako pokarm, ale mąkę ze zmielonego po obłuskaniu zboża ludzie pytlować będą tak jak dotąd i otrzymywać jej rozmaite, bielsze i mniej pożywne i ciemniejsze, ale za to pożywniejsze gatunki. Rozpowszechnienie zatem machin do obłuskiwania, ma cel przed sobą i byle tylko wynaleziono takie, które przy prostocie i dokładności działania niewiele kosztować będą, wejście ich w użycie niepodlega wątpliwości.

Jak w każdym nowym wynalazku od pierwszych kroków niepodobna wymagać doskonałości, to też pomiędzy znajdującemi się na wystawie machinami do obłuskiwania, nie jednej wiele zarzucić można. Do najudatniejszych należy machina pp. Henkla et Secka z Monachjum, oparta na sile odśrodkowej, oraz p. Maderspacha, znajdująca się w oddziale austrjackim, którą przedstawia załączony rysunek. Główną jej wyższość nad machiną pp. Henkla i Secka stanowi to, że ziarna użytego do obłuskania niepotrzeba moczyć. Młyn peszteński, pierwszy zakład młynarski w obrębie całej Austrji, zaprowadził u siebie machinę Maderspacha i najlepsze otrzymuje z niej skutki.

Jako objaśnienie rysunku dodać winienem co następuje:

Duszą całego mechanizmu jest pionowy walec (cylinder) idący przez środek maszyny od góry do dołu, w samym jej środku. Walec ten wprawia się w ruch bądź za pomocą układu kół zębatych, jaki (jest przedstawionym na rysunku), bądź za pomocą pasów, udzielających maszynie siłę pary lub wody, stosownie do tego jaka z nich jest pod ręką. Walec ten odbywa ruch wirowy około swojej osi z wielką szybkością, obraca się bowiem 140 do 180 razy na minutę.

Czynności obłuskiwania dopełniają szczotki metalowe, z których jedne są nieruchome i osadzone są w zewnętrznych ścianach górnej części maszyny, końcami drutów czy sprężyn obrócone na wewnątrz, drugie zaś krótsze z większego drutu, osadzone na samym walcu, i z nim razem odbywają ruch wirowy. Tym sposobem zboże sypane z góry dostaje się pod działanie tego podwójnego systemu szczotek, które je obłuskują i plewę odrzucają do osobno na to przeznaczonego miejsca, każde zaś z ziarn musi zostać obranem z swej powłoki, gdyż szybki ruch wirowy środkowego walca najeżonego szczotkami komunikuje się także ziarnom, a przez to wystawia je na przedłużone działanie tychże szczotek.

Wentylator umieszczony przy maszynie, przewiewa ziarna spadające po obłuskaniu i oddziela od nich kurz oraz inne nieczystości; wentylator ten jednak nie jest konieczną częścią maszyny, przewiewanie bowiem obłuskanego już

zboża, można odbyć na wialniach znajdujących się w każdym młynie.

Machina do obłuskiwania takich rozmiarów, w jakich znajduje się na wystawie, potrzebuje 1 1/2 do 2 koni siły i obłuskuje 500 do 600 funtów pszenicy na godzinę.

Nie wiem czy się nie zaobszernie rozpisuję o przedmiocie, który dla mnie osobiście okazał się bardzo interessującym, a to z dwóch względów: raz dla tego, że wykonanie mechaniczne i na wielką skalę tak delikatnej czynności jak odjęcie ciemniutkiej powłoki ziarnom zboża, których jest miljony w każdym korcu, wymagało obmyślenia nadzwyczaj dowcipnego mechanizmu, a ten który we wszystkich szczegółach oglądałem, zdaje mi się rozwiązywć swoje zadanie, byle tylko robota nie okazała się zbyt drogą, a powtóre dla tego, że zastanawiając się bliżej nad potrzebą, która wywołała wynalazek tej maszyny, dowiedziałem się o tem, iż pokarm na który ludzi mniej zamożnych skazuje brak środków na kupienie wykwintniejszej strawy, jest zdrowszym od jadła, za którem ubiegają się smakosze. Ów czarny chleb, który niejednego kłuje w ząbki, zabezpiecza tych co nim żyją od wielu chorób i przypadłości, na jakieby ich naraziło droższe i smaczniejsze na pozór jadło.

W mojem przekonaniu jest to jedno więcej potwierdzenie przysłowia: że nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Gdziekolwiek mi się zdarzy czytać o wystawie, wszędzie przedewszystkiem spotykam wzmiankę o olbrzymiej armacie przysłanej przez pruskiego fabrykanta Kruppa. Musi to być widać obowiązkiem sprawozdawców pisać o tej ogromnej paszczy, która w jakiej przyszłej wojnie śmierć może miotać będzie na ludzi. Jeżeli tak, to ponieważ i ja jestem sprawozdawcą, nie chciałbym się wyłamywać z pod ogólnego prawa i napisałbym o armacie, to jednak cobym mógł o niej napisać, nie wiem czyby czytelnikom do gustu przypadło. Oglądając armatę Kruppa nie myślałem o tem jakie ona spustoszenia porobić może w szeregach armji, przeciw której byłaby zwróconą, ani o tem jakim sposobem takiego potwora przewieść było można. Armata Kruppa powiedziała mi, że fabrykacja żelaza uczyniła postęp znakomity. O tem, żeby taką massę metalu można było odlać i wywiercić,— nie miałem dotąd wyobrażenia.

Armata Kruppa nie jest jednym przedmiotem, który potęgę dziś zdobytych przez przemysł środków mechanicznych pokazuje w całym rozwoju. Dla mnie nie mniej interessującemi były ogromne arkusze blachy, służącej do obijania okrętów. Jakich że to walców potrzeba, żeby otrzymać taką blachę jak np. wystawiona przez Hördera, 3 stopy szeroka, pięć ćwierci cala gruba, a 35 stóp długa i ważąca 5,250 funtów albo inna z tegoż zakładu i tej samej grubości szeroka 4 stopy, długa zaś przeszło stóp 23. Ta ostatnia waży 5,590 funtów.

Szyna z tegoż zakładu mająca 44 stopy długości, chociaż przy armacie Kruppa wygląda jak liliput przy olbrzymie, dla człowieka jednak znajdującego technicznie trudność wykonania podobnej sztuki, niemniej jest ciekawym okazem.

Sam pałac wystawy w strukturze swojej dostarcza nie mało sposobności podziwienia potęgi tegoczesnych środków mechanicznych. Każdy filar wielkiej galerji machin, waży blisko 30,000 funtów naszych. Inne części pałacu są odpowiednio ogromne.

Nakoniec niepodobna nie wspomnieć o latarni morskiej, która ma być postawioną na samotnej skale pomiędzy wyspami Bréhat i Guernesey, w téj części oceanu gdzie się odbywa akcja słynnej powieści Wiktora Hugo „*Pracownicy morza*” o 27 mil morskich od brzegów prowincji francuzkiej Bretanji. Plan jej nakreślili pp. Regnaud i Allard, z których pierwszy jest inspektorem jeneralnym, a drugi naczelnym inżynierem dróg i mostów we Francji, budowę zaś wykonali pp. Bertin i Rigolet. Aparat oświecający, jest dziełem p. Henri-Lepaute.

Latarnia ta jest całkiem zbudowaną z żelaza, wysokość jej aż do platformy wynosi około 84 łokci polskich, od dołu aż do aparatu oświetlającego 91 łokci, a aż do wierzchołka 98 łokci. Szerokość dolna wynosi blisko 20 łokci, górna 7 łokci, wewnętrzna zaś miejsca w którem znajdują się schody i mieszkanie strażnika, przeszło 6 łokci. Na wierzch prowadzą schody liczące 250 stopni. Ogień zapalony na latarni, widzialnym będzie na 25 mil morskich na około.

Aparat oświetlający ma przeszło 3 łokcie średnicy i składa się z 24 okrągłych szklannych soczewek, w których wspólnem ognisku znajduje się lampa służąca do oświetlania.

Obecnie na latarni morskiej ustawionej w parku odbywają się próby z światłem elektrycznem, a mianowicie badania jaki wpływ wywiera stan powietrza na to światło. Położona w malowniczym punkcie latarnia morska, jest jednym z przedmiotów, który na wystawie najwięcej przyciąga widzów. *Józef Niepowie.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



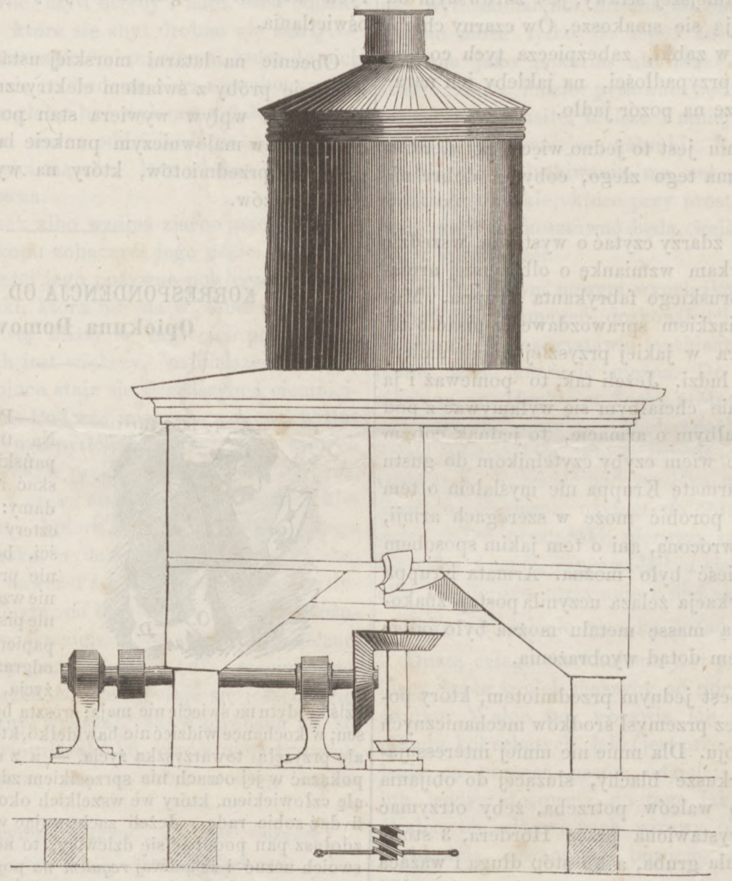
—Panu *Ignacemu z Radomia*. Na trochę naiwne zapytanie pańskie: co zrobić, aby pozyskać miłość panny? odpowiadamy: nie głosić na wszystkie cztery świata strony swej miłości, bo miłość lubi tajemnice, nie przewracać miłośnie oczu, nie wzdychać od ucha do ucha, nie pisać bilecików na różowym papierze, a nadewszystko nie odgrażać się odebraniem sobie życia, bo te głupstwa zupełnie dziś kredytu na świecie nie mają; zresztą być zawsze na swojem miejscu; w kochance widzieć nie bawidełko, które się rzuci kiedyś w kąt, ale przyszłą towarzyszką życia, — a z drugiej strony, starać się pokazać w jej oczach nie sprzęcikiem zdatnym do ubrania salonu, ale człowiekiem, który we wszelkich okolicznościach życia potrafi dać sobie radę. Jeżeli zachowując wszystkie te przepisy, nie zdołasz pan podobać się dziewicy, to uderz we wszystkie dzwony swoich uczuć i zaśpiewaj *requiem* na pogrzebie swej miłości. Taka panna — niech zginie w staropanieństwie!

— *Panu Z. Z. w R.* I pan chcesz być poetą? Rzeczywiście, godnem jest podziwu pańskie poświęcenie dla dobra ludzkości! Czując brak wieszczów na świecie, postanowiłeś zwiększyć ich szeregi, zamieniając zbrudzony elementarz na — lutnię wybrańców Olimpu. Jeżeli się świat na panu nie pozna, to chyba przez zazdrość że nie potrafi popełniać tak olbrzymich —błędów kaligraficznych. Lecz mniejsza o świat, mniejsza o złośliwych krytyków, mniejsza o purystów co przez zazdrość chcieliby wieszcza skrzydła krępować prawidłami gramatycznemi, mniejsza o wszystkich — bylebyś uchodził pan w oczach swoich ciotek, babek i siostrzyczek za 8-y cud świata, za poetę skończonego. Przejęci dla genjusza pańskiego najwyższem podziwieniem, mniemamy, że najwłaściwsze miejsce dla jego arcytworów poetycznych będzie — w kupie popiołów na kominku redakcyjnym, dokąd je też przesłać nie omieszkamy. Tymczasem szczerze radzimy Panu dla dobra nie już ludzkości, którą zostaw pan na stronie, ale li tylko dla dobra swojego, oddać się użyteczniejszemu jakiemu rzemiosłu, aniżeli *poetycznemu rymarstwu*.

ROZMAITOŚCI.

Uszlachetnione piwo. Amerykanin Haukeus wyrobił sobie przywilej na środek poprawiający piwo; cała sztuka zasadza się na dodaniu przed samem użyciem do jednej kwarty piwa 1 $^1/_2$ łuta tłuczonego cukru i 15 gran miałkiego proszku kwasu winnego. Tak zaprawne piwo nawet lichego gatunku, rzeczywiście nabędzie smaku wybornego, bardzo przyjemnego, stanie się nader ochładzającem i orzewiającem. Lekki winny smak, który winny kwas udziela, nie ma najmniejszego podobieństwa do smaku skwaśniałego piwa.

— **Konserwy z poziomek.** W obecnej porze najobfitszego zbioru poziomek, być może że która z gospodyń naszych zechce korzystać z następującego łatwego sposobu przyrządzania z nich konserwów. Zebrane podczas suchego dnia poziomki, starannie oczyszczają się z wszelkich listków, i z tych poziomki najjędrniejsze i największe oddzielają się od drobniejszych, zgniecione zaś lub uszkodzone odsuwają się jako nieużyteczne. Drobne poziomki przeciskają się przez gęste włosiane sito, a otrzymany z nich sok miesza się z miałko utłuczonym i przez drobne sito przesianym cukrem w stosunku $^1/_4$ funta cukru na jeden funt soku, następnie ta mięszanina (syrop) przepuszcza się przez rzadkie sito.



Maszyna do obłuskiwania ziarn zbożowych.

Duże poziomki poprzednio oddzielone, posypują się dostatecznie miałkim cukrem i takowemi lekko napełnia się po sam wierzch szklany słój lub blaszana puszka, do której dolewa się o ile się zmieści przygotowany sok z drobnych poziomek. Słój lub puszkę należy poziomkami tak wypełnić, ażeby nie pozostała się w nich pusta pszestrzeń, dla zapobieżenia zaś przystępu powietrza, należy słój szczelnie obwiązać pęcherzem, a jeżeli puszka to ją zalutować. Nareszcie tak przygotowane konserwy z poziomek wynoszą się do piwnicy lub jeszcze lepiej do lodowni, gdzie przez długi czas w wybornym stanie zachowane być mogą aż do chwili ich użycia.

— **Nowy dom dla podrzutków.** Ze wzrostem ludności Warszawy i Królestwa, zwiększyła się i ilość biednych dzieci opuszczonych przez zdrożnych lub ubogich rodziców. Dotychczasowy dom podrzudków pod nazwą ,,Dzieciątka Jezus" okazał się za małym. Otoż słyszeliśmy, że nie zadługo nowy dom dla podrzutków ma być wybudowany na Folwarku święto-Krzyskim w Warszawie pod Koszykami i że koszta tego nowego gmachu mają być oznaczone na 450,000 rs. Dotychczasowy zaś gmach przy placu Wareckim, po wybudowaniu nowego zostanie przedany.

— **Dni odpoczynku** niejednakowo wypadają u rozmaitych ludów. I tak Chrześcjanie odpoczywają w niedzielę, Albańczycy (lud zamieszkały w Turcji Europejskiej) świętują w poniedziałek, Persowie (lud Azjatycki) we wtorek, Assyryjczykowie (lud Azjatycki dziś już nieistniejący) odpoczywali w środę, Egipcjanie starożytni w czwartek, Machometanie w piątek, a Żydzi w Sobotę.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Pod kolumną Zygmunta w Warszawie*).

Jan. Słuchaj no Pawle, gdyby na tej kolumnie drugą taką postawić, to pewnikiem dostałby do Nieba.

Paweł. Drugą jak drugą, ale gdyby dziesięć takich *to świat!*

(Widać, że ani Jan ani Paweł nie czytali książeczek dla prostaczków przez ludzi dobrej woli napisanych, gdzie się mówi o niebie i ziemi, o wodzie i powietrzu, tęczy, zresztą o ptakach i zwierzętach i o tysiącu innych rzeczach, które w życiu ciągle nas otaczają, a o których prawie jest grzechem nie wiedzieć, zwłaszcza takim kawalerom jak ci, cośmy ich niechcący podsłuchali. Porządnie byli ubrani i dobrze im z oczu patrzyło. Gdyby sobie książeczki czytali, toby wiedzieli ze tak nazywane przez nas niebo jest bezdenną otchłanią, w której się unoszą miljony światów; a takich książeczek łatwo dostać w każdej bezpłatnej czytelni przy ochronkach, a i kupić je niewielka rzecz, bo jedna kosztuje najdrożej złotówkę.)

ZAGADKA.

— Kogo człowiek ślepy, na lewe oko widzi w lustrze gdy się przegląda?

(Człowieka ślepego na oko prawe.)

Myśli i Zdania.

Nagrodą bezrozumnych rodziców w starości, jest pogarda dzieci. Jednym z największych jest ich złe wychowanie. Dziecko w nauczycielu, a sługa w panu lub pani najprędzej dojrzą strony śmiesznej i praktycznej.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.